

Balik, Zenon

W syberyjskich tajgach żyć... (3)

Przegląd Pruszkowski nr 1, 44-62

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W syberyjskich tajgach żyć...*

(3)

*Dziesiąty luty będziem pamiętali,
Przyszli sowieci, myśmy jeszcze spali,
I nasze dzieci na sanie włożyli.
Na główną stację wszystkich wywozili.*

OŚWIATA DLA WSZYSTKICH

Po wyprowadzeniu polskich rodzin z budynku szkolnego zrobiono tam mały remont.

Przyjechały bowiem z Moskwy, delegowane z nakazu pracy dwie nauczycielki, bardzo młode dziewczyny. Powstała szkoła podstawowa dla całego zgrupowania Polaków w Jurockie i dla mniejszości tubylczej. Wszystkie dzieci zapisane zostały do tej klasy, w której przerwały naukę w Polsce. Szkoła była czteroklasowa. Ja trafiłem do klasy trzeciej. Zajęcia odbywały się w dwóch salach: w jednej klasa pierwsza, druga i w drugiej trzecia i czwarta. Naukę języka rosyjskiego we wszystkich klasach trzeba było zaczynać od początku. Na pewno była to trudna i męcząca praca dla młodych nauczycielek. Współczuli im dorośli, że takie ładne dziewczyny tak marnie zaczęły swą karierę zawodową. Widać było początkowo ich przygnębienie warunkami, jakie zastały na tym odludziu. Pracowały jak skazane.

Na ich szczęście depresja ta nie trwała długo, bo zainteresował się nimi sam pan komendant polskiego obozu. Teraz często zamiast w Palenczycach przebywał w Jurockie i urzędował w pokoju nauczycielek. Od tego czasu często lekcje odbywały się z jedną nauczycielką, bo druga przyjmowała gościa i tak na zmianę. Gość był na tyle taktowny, że nie chciał zbyt długo krępować swoją obecnością jednej pani i dlatego na następnej lekcji następowała zmiana wykładowcy. Po pewnym czasie pan komendant potrafił już zajmować się obiema paniami naraz. Gdy jedna pani uczyła a druga przyjmowała gościa do końca lekcji, po pauzie do pokoju wchodziła druga pani i zaraz było słycać pisk i chichot pani, która z kolei zajmowała się gościem. Często pauzy znacznie się wydłużały,

*) Z "II pieśni syberyjskiej", autorka : Anna K.

co sprzyjało naszej ucieście. Po pauzie jedna z pań zjawiała się w klasie w ślicznych rumieńcach na buzi i długo patrzyła na uczniów życzliwie, zastanawiając się, na czym to skończyliśmy? Lekcje trwały krótko. Niewątpliwie podstaw języka rosyjskiego nie wyniosłem z tej szkoły. Zajęcia trwały krótko, do wakacji i trochę po wakacjach, bo na jesieni oddano dwa nowe baraki mieszkalne, oddalone dwa kilometry w dół rzeki Czuny.

NOWY BARAK

Przeniesiono nas do tych baraków. Tam kultura mieszkania była o wiele większa. Nowe baraki stały na podwyższonej podmurówce z kamienia. Po środku baraku biegł korytarz przez całą długość a po obu stronach korytarza były "komnaty", jednakowe dla każdej rodziny. Powierzchnia komnaty: około 15 m². Szerokość izby wynosiła około 3 metrów. Z prawej strony od wejścia mieściła się prawdziwa kuchnia z fajerkami a na wprost przyca pod oknem. Kuchnia miała sporą przylepkę murowaną, która gromadziła ciepło. W baraku nie było ubikacji ani umywalki. Podłoga była równa, jakby z desek heblowanych. Oczywiście cały dom był drewniany, ale nie z surowych bali, lecz z obrobionych kantówek. Narożniki domu były wykonane na "winkiel". Każda izba miała spore okno z lufcikiem, oszklone jedną warstwą. Ściany działowe między komnatami były wykonane z jednej warstwy desek.

Przyszła zima jak zwykle bardzo surowa. Przestaliśmy chodzić do szkoły, bo nie mieliśmy ciepłej odzieży ani dobrych butów. Siedzieliśmy w domu, pięcioro dzieci dokuczających sobie nawzajem. A i draki nie były czymś wyjątkowym. Kłóciliśmy się o wszystko: o nóż, o łyżkę, o grzebień, o miejsce na przycy i o porcję chleba. Każde chciało więcej chleba i chociaż matka krajała równe kromki, to jednak na oko niektóre wydawały się większe i jeżeli dwoje upatrzyło sobie tę samą kromkę, to konflikt był nie unikniony. Czasami matka kroila kromki według wzrostu. Wydawało mi się, że to ja jestem największy i mnie się należy największa kromka, a Romkowi najmniejsza, bo on był najmłodszy. Uważałem, że jest to sprawiedliwe, zresztą taka była wola matki. Inni natomiast (nie bez uzasadnienia bo Todzia była najstarsza), a szczególnie najmłodszy Romek, nie mógł się z tym pogodzić i domagał się największej porcji.

Uspakajała nas ciotka Kaśka - niemowa litując się nad nami i nad naszą głodówką, choć sama głodowała nie mniej od nas, ale nigdy się nie skarżyła. Myślała widać jakby tu ona stara i niedołączna mogłaby pomóc w tej biedzie, bo razu pewnego ubrała się we wszystko co miała i poszła po proszonym do Rosjan w Jurockie. Z tej pierwszej wyprawy przyniosła dwie kromki chleba i kilkanaście ziemniaków. Była z tego kartoflanka. Rozochociła się pocziwa ciotka tym sukcesem i zaczęła wychodzić czę-

ściej. Rosjanom pokazywała na migi, że w domu jest dużo dzieci, że są głodne i płaczą. Kilka razy ludziska dawali po kartofelku, ale po pewnym czasie przestali dawać, a nawet chłopcy wypędzili ją ze wsi i obrzucili kamieniami. Przyszła z płaczem i pokazywała na migi, jak tam ją potraktowali. Na razie przestała chodzić, ale ciągle rozmyślała i wreszcie zdobyła się pójść do Kadarei. W ten straszliwy mróz szła drogą po zamrzniętej rzece. Do tego kołchozu było około 6 km. Przyszła ze znacznymi datkami. Ziemniaków miała z pół wiaderka a w kieszeni różnej wielkości kawałki chleba. Była bardzo zmęczona i zziębnięta. Potem długo nie mogła zdecydować się na następną wyprawę, a nam było jej szkoda i nie namawialiśmy jej na ponowne wyjście, ale kiedy znów postanowiła wyjść, nie powstrzymaliśmy i poszła.

Tym razem długo nie wracała, przez co bardzo się o nią martwiliśmy. Okazało się, że w drodze powrotnej zamarzła i długo leżała na śniegu tracąc przytomność. Na szczęście jechał ktoś saniami i przywiózł ją na pół przytomną. Długo po tym chorowała i nie wychodziła na dwór. Siedziała w domu i naprawiała nam bieliznę. Pomagaliśmy jej nawlekać igłę, bo miała już kiepski wzrok. W wolnych chwilach szukała wszy w pościeli i w bielinie oraz w naszych głowach. Często prosiła, żeby ją ktoś wyiskał, ale nam się nie bardzo chciało, tylko czasem Todzia albo Krysia iskały ją z czego była bardzo rada. Ciotka Kaśka miała gęsty grzebień, którym wyczesywała wszy na stolik albo na pryczę. Często braliśmy od niej ten grzebień i robiliśmy to samo.

W mroźną zimę cały czas siedzieliśmy w domu, tylko matka musiała wychodzić do pracy w lesie, a ojciec przebywał w Palenczycach i teraz rzadziej nas odwiedzał. Czasem całą zgrają chodziliśmy do państwa Calików. Mieszkali oni w tym samym baraku, w drugich drzwiach po przeciwnej stronie korytarza. Dzieci Calików, tak samo jak my, były same w domu przez cały dzień. Byliśmy z nimi bardzo zżyli. U p.p. Calików było dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Mnie bardzo imponowali chłopcy, szczególnie starszy Zdzisiek. Czesiek, mój rówieśnik, był dla mnie najwierniejszym kolegą. To też najczęściej przebywałem z Cześkiem.

Czasami brakowało nam drewna na opał i chcieliśmy jakoś pomóc matkom w przygotowaniu opału. Calikowie mieli piłę poprzeczną. Za namową Zdziśka braliśmy we trzech tę piłę, dwie siekiery i szliśmy niedaleko w las. Ja i Czesiek mieliśmy skończone 10 lat, Zdzisiek 12. Ubraliśmy się w co się dało. Drzewo jednak było przywalone śniegiem. W tajdze wybierało się na opał drzewa najczęściej już leżące, bo takich nie brakowało. Brnęliśmy więc po śniegu badając nogami, czy tam nie leży jakaś kłoda. Jak wymacaliśmy jakiś kłoc, trzeba było go odgarnąć ze śniegu, zrobić koło niego spore zagłębienie i dopiero piłować. Pierwsze piłowanie to tyl-

ko przecięcie drzewa po środku, ale drugie dawało już odcięty klocek prosto do rąbania. Trzeba było w sumie wykonać cztery przepiłowania, żeby dla każdego było po jednym klocku, ale koledzy powiedzieli, że zadowolą się jednym, więc tylko trzy piłowania. Pracowaliśmy na zasadzie sprawiedliwego podziału pracy i jej efektów. Ponieważ ja byłem z rodziny tylko jeden, a chciałem mieć drzewa równo, to oni się przy pile zmieniali a ja nie. Było mi bardzo ciężko. Drzewo było bardzo grube, ale jakoś wytrzymałem. Było nam gorąco. Idąc do domu, odpiłowane kłocce podnosiliśmy do góry, aby wydobyć je z głębokiego śniegu, poczem mogliśmy przez chwilę turlać je po śniegu, zanim nie zaryły się w nim ponownie. Tak posuwaliśmy się aż pod dom, gdzie było twardo. Teraz kłocce z grubszą rąbaliśmy na dworze a na drobniejsze szczapki w mieszkaniu. Huczał cały barak od stukotu naszych siekier aż starsze sąsiadki przychodziły, żeby nas uspokoić.

Później ze smolnego kłoca cięliśmy cienkie łuczywa, takie cienkie szczapki grubości ołówka a długości około 30 centymetrów. Wiązaliśmy je w wiązki po 100 sztuk. Bardzo dużo łuczywa narobili Calikowie, bo było ich dwóch. Łuczywa te służyły nam do oświetlania domu, bo innego źródła światła nie mieliśmy. Wysiadywaliśmy u Calików przy palenisku kuchennym i zawsze jeden z nas palił swoje łuczywo, a kiedy łuczywo się dopalało, to drugi przypalał od niego i tak po kolei. Ci, co nie palili łuczywa, mieli obowiązek opowiadać bajkę. Najczęściej były one zmyślane, bo te klasyczne, które znaleźliśmy, szybko się znudziły. Najciekawiej opowiadał Czesiek. Palenie łuczywa jest swoistą sztuką. Podobnie jak jedzenie pałeczkami wydaje się łatwe temu, kto ich nie używa, lecz w gruncie rzeczy nie jest to takie proste. Nie można trzymać podpalonego łuczywa aż się wypali. Poza tym palące się łuczywo należy trzymać w pozycji pochylonej, bo węgiel ze spalonego końca może zgasić płomień. Jednak trzeba wiedzieć, że tak palone łuczywo spala się szybko i daje mało światła. Sztuka prawidłowego palenia polega na tym, że w obydwu rękach trzyma się po jednej pałeczce łuczywa. W czasie, gdy jedno się spala, drugim zdrapuje się spalony węgiel z jego wierzchołka. Przez to płonący patyczek można trzymać prosto, dzięki czemu płomień jest jasny i łuczywo dłużej się pali. A więc jest to zajęcie na dwie ręce. Po tym paleniu mieliśmy zakopcone nosy, a i ściany czerniały od dymu. Było to jednak jedno z najprzyjemniejszych zajęć.

Często siadaliśmy na pryczy przy oknie i chuchaliśmy w oblodzoną szybę, żeby wytopić dziurkę w grubej warstwie lodu i szronu na szkle i wyrzeć na drogę. W sobotę wypatrywaliśmy zawsze, czy ojciec nie idzie. Od czasu do czasu przechodził jakiś człowiek, ale jak odgadnąć, kto to? Każdy był ubrany w waciak, walonki i czapkę uszatkę na głowie, a kłapy

od nauszników zawiązane pod brodą. Z ust każdego buchał jednakowy biały obłoczek pary, w którą zamieniał się oddech w mroźny dzień. Każdy był jednakowo oszroniony parą z oddechu. Przeszło kilka osób, ale to wciąż nie był ten, na którego czekamy. Ale idzie jeszcze ktoś, to musi być on, który oprócz znamion zewnętrznych ma w swym wyglądzie coś, co znane jest tylko najbliższemu, trudne do opisania. Może to być znany krok, znajomy ruch ciała i rąk. Właśnie na horyzoncie pokazała się taka sylwetka. Tak! To jest on, nikt nie wątpił, bo to nie mógł być ktoś inny. Spotkanie było radosne, choć nie było cukierków ani podarunków.

BLISKO LATA I NADZIEI

I tak doczekaliśmy wiosny 1941 roku. Około 15 maja popękał lód na rzece Czunie. Ruszyła potężna kra. Teraz przejście na drugi brzeg nie było już możliwe. Niemożliwe było też przepłynięcie łódką, gdyż natychmiast byłaby zmiądzona potężną krą, której grubość wynosiła około półtora metra. Wydawałoby się, że teraz nie ma sposobu komunikacji między obydwoma brzegami, a tymczasem byliśmy świadkami jak tubylcy przechodzili przez rzekę i nawet nie z potrzeby a dla zabawy. Młodzieńcy, posługując się bagrem (bosakiem) wskakiwali przy brzegu na większą krę i posuwali się dalej skacząc z jednej kry na drugą. Jeżeli w sąsiedztwie kry, na której płynął śmiałek nie było kry odpowiedniej wielkości, na którą można byłoby skoczyć, to przyciągał bagrem odpowiednią krę na potrzebną odległość i łądował na niej.

Na Czunie w dole rzeki było kilka progów. Widocznie na którymś z nich powstał zator. Poziom wody w Czunie zaczął się podnosić i woda zaczęła zagrażać naszym barakom, które stały na nizinie niedaleko Czuny. Polecono nam natychmiastową ewakuację. Braliśmy z domu tylko rzeczy niezbędne. Podjechał gąsienicowy traktor ze znaną, wielką platformą na drewnianych płozach, na którą załadowaliśmy bagaże. Dzieci i osoby słabsze posadzono na platformę a pozostali szli za tą machiną, jak w wielkim orszaku żałobnym. Kierunkiem ewakuacji były pobliskie wzgórza. Na wielkiej bezśnieżnej polanie założono obóz powodzian. Wieczorem grupa chłopców, do której i ja należałem, zajęła się znoszeniem drewna na ognisko z pobliskiego lasu. Ognisko było niezbędne do ogrzewania nas nocą, bo noce były jeszcze mroźne. Rozpalono ognisko, zapadł wieczór. Poszliśmy po następny zapas drewna do lasu. W pewnym momencie zauważyliśmy z Cześkiem, że idący przed nami Zdzisiek idzie prosto na wyrwę po wyrwionym drzewie i wpada do niej. Wyciągnęliśmy go z tej dziury i pytamy:

- Jak to się stało, że nie widziałeś tego dołu?

A on na to:

- Bo ja nic nie widzę, jak tylko się ściemni.

Okazało się potem, że takich jak on było więcej. Wieczorem trzeba było ich prowadzić jak niewidomych. Cierpieli oni na kurzą ślepotę. Dowiedzieliśmy się od ludzi doświadczonych, że nie jest to groźna choroba, a jedynym na nią lekarstwem jest dobrze zjeść, bodaj kilka razy. Ale narazie nie było takiej możliwości. Byliśmy jednak zbyt młodzi, żeby zrozumieć nieszczęście i niebezpieczeństwo, jakie kryła w sobie choroba Zdziśka, nie traktowaliśmy więc jej poważnie, wykorzystując ją do stwarzania zabawnych sytuacji ku uciesze młodzieży.

Po dwóch dniach poziom wody w Czunie zaczął opadać i wszyscy wrócili na swoje prycze. Nie pamiętam dlaczego na wiosnę nie wznowiliśmy nauki w szkole. Byliśmy zbyt przygnębieni warunkami życia i pewnie nauka nas nie interesowała, cały czas myśleliśmy o kawałku chleba. Co by tu można zjeść, żeby zaspokoić głód. Chwilami, kiedy byłem sam, myślałem czy w ogóle jest możliwe uczucie sytości? Czy jest możliwe, żeby człowiek jedząc zjadł tylko część strawy, a resztę zostawił? Przeglądając się porcjom chleba przygotowanym dla całego rodzeństwa, byłem przekonany, że gdybym je wszystkie sam zjadł, to i tak nie zaspokoiłbym głodu. Przypominałem sobie jak to było w Polsce, czy najadałem się do syta? Przypominałem sobie chwile, kiedy odmawiałem zjedzenia kawałka chleba czy ciasta. Nie mogłem zrozumieć jak mogłem zrobić coś takiego. Nie mogłem darować sobie tego, że nie wypilem ostatniego kubka mleka, który podała mi matka rankiem 10 lutego 1940 roku, w momencie gdy byliśmy już aresztowani i przeznaczeni na zsyłkę. Ilekroć przypominałem sobie tę chwilę, zawsze nie mogłem sobie wybaczyć własnej głupoty. Jaki byłem głupi! Odmówiłem wypicia garnuszka mleka! Wydawało mi się, że ani powaga chwili, ani lęk przed nieznanym losem, jaki czekał mnie i całą rodzinę, nie mógł być wystarczającym powodem, żeby nie wypić tego mleka.

Rosjanie uważali, że wszystko jest w porządku, bo Polacy otrzymują taką samą rację chleba jak i Rosjanie. Tak było faktycznie. Tylko oni mieli conajmniej pół litra mleka dziennie na osobę, własne zasoby ziemniaków i warzyw. Mieli też broń do polowania i wszelki sprzęt do łowienia ryb w rzece. Mieli na to wszystko trochę czasu, a poza tym w ich rodzinach było mało dzieci. Nieraz myślałem co było przyczyną, że Rosjanki mają mało dzieci, a Polki dużo. W latach późniejszych dowiedziałem się na czym to polega. Podśluchałem rozmowę jednej dziewczyny z kołchozu, która mówiła mojej siostrze, co należy czynić jak się zajdzie w niepożądaną ciążę. Z relacji tej dziewczyny wynikało, że ich "bania", a raczej umiejętność korzystania z niej daje im to dobrodziejstwo. Po ewentualnym kontakcie z mężczyzną kobieta nie może pominąć okazji do skorzystania w najbliższą

sobotę z bani. Panuje tam bardzo wysoka temperatura, pomieszczenie wypełnia gorąca para. Następuje więc przegrzanie całego organizmu, czego następstwem jest pozbycie się ewentualnej ciąży i wystąpienie normalnej menstruacji.

Rodzice nasi to rolnicy i nigdy w życiu nie zajmowali się myśliwstwem ani rybołówstwem. Ich nadmiernie ciężka praca przy złym odżywianiu, chorobie, niewoli i rozbiciu rodziny - wszystko to nie pozwalało w ciągu tak krótkiego czasu pokonać wszelkich trudności. Tym przede wszystkim należy tłumaczyć nędzę zesłanych na Sybir. Nikt dotąd nie otrzymał pomocy na zagospodarowanie. Mówili tylko:

- *Kto rabotajet, tot i kuszajet.*

Jednego razu, kręcąc się koło baraku, zwiјаłem się z głodu. Dostrzegł mnie ze strychu jeden z naszych towarzyszy niedoli. Był to dorosły i młody mężczyzna, którego nazwiska nie znałem. Zawołał mnie i kazał mi wejść na strych po drabinie. Było to wejście z zewnątrz przez dziurę w szczycie. Po moim wejściu wciągnął drabinę na górę. Zauważyłem, że miał rozpięte spodnie a oczy świeciły mu jak wilkowi. Nie wyglądał na zboczeńca a raczej na inteligenta, jak moja matka nazywała schludnie wyglądających mężczyzn. Spytał mnie, czy jestem głodny. Kiwnąłem głową, że tak. Na widok kromki chleba, którą trzymał w ręku pociekła mi ślina.

- Dam ci ten chleb jak mi zrobisz coś.

Usiadł na belce. Jedną ręką przyciągnął mnie do siebie a drugą sięgnął do spodni i wyjął swój interes, którego początkowo nie poznałem. Zaczął go międlić pokazując jak mam mu to robić. Przerażony, wykrzyknąłem:

- Nie!

Wtedy wściekły warknął cicho na mnie, a ja się rozplakałem. Chwył brutalnie mnie za głowę, zaciskając mi jedną ręką usta, żeby nie było słychać mojego płaczu. Zagroził, że jak nie przestanę płakać, to mnie udusi. Jak się uspokoilem spytał mnie, czy będę grzeczny. Kiwnąłem głową. Zwolnił uścisk na moich ustach i kazał mi się przyglądać, jak on to robi. Byłem tak wystraszony, że niewiele widziałem jego samogwałtu. Rozumiałem jednak, że to jest ohydne, obrzydliwe i bardzo grzeszne. Zmusił mnie do przyrzeczenia, że nikomu o tym nie powiem. Dostałem od niego tę kromkę chleba, którą wrębałem zanim zszedłem po drabinie. Miałem poczucie, że zasłużyłem na ten chleb i nie czułem już obrzydzenia. To nędz a i głód, nic innego, zmuszała dzieci takie jak ja do działania wbrew woli stawiając je w sytuacjach, których znaczenia nie rozumiały.

Kiedy wreszcie zrobiło się ciepło, siadaliśmy w dymie ogniska chroniącego przed muszką i piekliśmy w płomieniu na gałązkach szczaw, które-

go było sporo na przyrzecznej łące. Surowy był zbyt kwaśny a pieczony smakował jak pieczone jabłka. Rozmyślaliśmy, jakby tu złowić trochę ryb, które podpływały pod sam brzeg. Kiedy stało się w wodzie do kolan, widziało się jak piskorze podpływają całym stadem do nóg i czubkiem mordki stukają w zanurzone nogi. Kiedy zrobiło się najmniejszy ruch, w mgnieniu oka odpływały, by po chwili zbliżyć się ponownie. Wiedzieliśmy, że można łowić wędką, ale skąd wziąć wędkę? Możliwe, że można by zrobić, ale skąd wziąć haczyk, skąd wziąć żyłkę? Przecież sklepu tam nie było. Zaczęliśmy głowić się, jak zrobić wędkę. Zdzisiek powiedział, że zamiast żyłki można zastosować splot włosia końskiego. Mówił, że widział takie żyłki u Ukraińców jeszcze na Podolu. Bierze się 12 nitek włosia końskiego, które się splata, a następnie około półmetrowe sploty wiąże się jeden do drugiego otrzymując w ten sposób żyłkę dowolnej długości.

Dobrze, ale skąd wziąć końskie włosie? Haczyk można zrobić z kawałka cienkiego drutu, ale włosie? Zaczęliśmy więc najpierw szukać konia. W tartaku mieli kilka koni, ale wszystkie były pod kontrolą, albo w pracy przy ściąganiu drzewa. Nie mieliśmy do nich dostępu. Aż jednego razu, między rzeką a tartakiem, zobaczyliśmy konia pasącego się na trawie. Była to chuda szkapina, skóra i kości, niewątpliwie chory albo zagłodzony przez zimę. Był to siwek, z długim jasnym ogonem, jakby przez samego Pana Boga do nas przysłany. Zaczęliśmy ukradkiem podchodzić go, ale koń był czujny i w momencie, jak zbliżyliśmy się, robił niemrawy odskok i oddalał się o kilka kroków. Na podchody pojedyncze reagował podobnie. Któryś z nas zerwał trochę trawy i trzymając ją w wyciągniętej ręce zaczął zbliżać się do niego. Prawie mu się udało, ale w ostatniej chwili koń splószył się ponownie. Chodziliśmy wokół niego tak długo, aż się do naszej obecności przyzwyczaił. Wreszcie sam podszedłem do niego z wyciągniętą ręką i odniosłem wrażenie, że i koń ma ochotę do mnie podejść. Miałem trochę wyczucia do koni, bo przecież wychowałem się przy koniach. Wolno, krok po kroku, podszedłem do niego. Zaczął obwąchiwać moją rękę, a po chwili pozwolił poklepać się po pysku. Chwyciłem go wtedy za grzywę i zacząłem drapać go po karku. Koń nadstawił się, wyraźnie zadowolony z tej pieśczęoty. Tymczasem Zdzisiek i Czesiek podeszli do niego z boku i zajęli się jego ogonem. Prosiłem, żeby wyciągali po kilka włosów, nie całą garścią, bo to może konia zabołec i zwierze się splószy. Koń tymczasem był widać tak rad z naszego towarzystwa, że w ogóle nie reagował na małe szarpnięcia u nasady ogona. Zachowywał się tak, jakby rozumiał nas i nasze potrzeby.

Po krótkim czasie połowa końskiego ogona przeszła w nasze posiadanie. Zdzisiek wziął się za robienie splotów, które wiązał ze sobą, a ja mu trzymałem końce. Czesiek wybierał i równał włosie. Narobiliśmy po dwa

komplety żyłek dla każdego. Najmniej kłopotu sprawiło nam wędzisko. Wycięto się w zaroślach odpowiednie kije i wędzisko gotowe. Teraz przyszedł najważniejszy moment zrobienia haczyków. Wiedzieliśmy jak powinien wyglądać prawdziwy haczyk, my zaś próbowaliśmy zrobić coś prostszego. Użyliśmy do tego drucików. Były one odpowiednio naostrzone i zagięte, ale nie miały naciętego żądełka pod czubkiem ostrza. Uwiązaliśmy haczyki na końcach sfabrykowanych żyłek, a przed haczykiem, na jakieś 25 centymetrów, przymocowaliśmy małe nakrętki jako ciężarki. Chcieliśmy więc łowić na tak zwany grunt, bo jeszcze nie znaleźliśmy sposobu łowienia ze spławikiem. Robaki były na miejscu.

Próby wędkowania wypadły niestety, negatywnie. Ryba brała, ale w momencie poderwania wędki ześlizgiwała się z haczyka i nurkowała do wody. Kilka razy jakiś okonek połknął cały haczyk wraz z robakiem, ten był nasz, tylko żeby zdjąć go z haczyka, trzeba było mu wyrwać wszystkie wnętrzności. Czasami zaciągnięta rybka lądowała na brzegu i trzeba było szybko ją chwycić, bo inaczej rybka rzucając się po ziemi wykonywała skoki w kierunku wody, żeby próbować ratować się ucieczką. Wszystkie jednak nasze "sukcesy", nie były tym do czego zmierzaliśmy. Zaczęliśmy kombinować, jak zrobić żądełko na haczyku. Któryś z kolegów powiedział, że jeden z Polaków, pan Piotrowski, sąsiad, z zawodu ślusarz, na pewno ma mały meselek (przecinak). Może byśmy poprosili, żeby go nam pożyczył na chwilę. Czekaliśmy na niego, bo on tak samo jak nasi ojcowie przebywał gdzieś w lesie. Wreszcie doczekaliśmy się takiego dnia i poszliśmy we trójkę do jego domu. Wchodząc do izby zdjęliśmy czapki z głów, czego nas zawsze uczono i powiedzieliśmy:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Odpowiedziano nam:

- Na wieki wieków, amen. Po coście przyszli chłopcy? - Pyta pan Piotrowski. Najstarszy z nas, Zdzisiek, zaczął mówić jękając się nieco, że chcieliśmy pożyczyć meselka, bo chcemy nadciąć żądełka na haczykach. Natniemy żądełka i zaraz oddamy - zapewnił Czesiek.

Pan Piotrowski powiedział:

- Dam wam, ale żebyście go nie zgubili i jak będzie wam niepotrzebny, to mi go zaraz przynieście.

Ucieszyliśmy się, bo nie przypuszczaliśmy, że tak łatwo nam pójdzie. Przystąpiliśmy do dzieła. Na początku nie było to takie łatwe. Nawet dzisiaj, jak to wspominam, podziwiam naszą zręczność przy wykonywaniu tej precyzyjnej roboty. Chociaż dzisiaj posiadam już sporo umiejętności, wiem, że nawet obecnie posługując się lupą zegarmistrzowską sprawiła by mi ta praca sporo kłopotu. Wtedy jednak potrzeba, wyobraźnia i do-

skonały wzrok, były wszystkim, co pozwoliło nam sprostać temu zadaniu. Haczyki były jak fabryczne. Miały tylko jedną wadę: wykonane zostały ze zbyt miękkiego drutu, ale to już nie miało wielkiego znaczenia. Rysowała nam się nadzieja na pewne podniesienie stopy naszego nędznego życia.

Nadzieja ta była uzasadniona przez jeszcze jeden znamieny fakt: zamiast w sobotę przestępną, któregoś dnia w pierwszych dniach czerwca, przyszli nasi ojcowie, przynosząc w woreczkach po jakieś 15 kilo ziemniaków i oznajmili nam, że władze obozowe dały im te ziemniaki jako deputat na zaprowadzenie własnego ogrodu dla każdej polskiej rodziny. Ojciec wysypał ziemniaki na dużą miednicę. Była pełna z czubkiem. Tyle ziemniaków wrzucić do ziemi kiedy tu wszyscy głodni! Ojcu, jako rolnikowi na własnym gospodarstwie w Polsce, nie raz przychodziło kroić ziemniaki do sadzenia, kiedy nie było dostatecznej ilości drobnych ziemniaków. Zwykle kroi się duże ziemniaki na pół a najwyżej na trzy części, bacząc żeby na każdej części było chociaż po dwa oczka. Pokrojone ziemniaki wysypywało się na ziemię, żeby przeschły na słońcu (chodzi tu o płaszczyny przekrojone) bo inaczej zaraz zaczęłyby gnić w ziemi. Tutaj Rosjanie takich praktyk nie stosowali. Wziął więc ojciec nóż i przygotował ziemniaki do sadzenia metodą eksperymentalną. Nie kroił ich tak jak dawniej, ale wyrzynał oczka odkrawając grube łupiny, które były przeznaczone do sadzenia, natomiast całe środki przeznaczył do jedzenia. Było tego na dwa dni po pełnym garnku. Zdziwili się Rosjanie, kiedy ojciec przyszedł do sadzenia i zamiast ziemniaków przyniósł kilka garści oberzyn. Objętościowo było tego faktycznie niewiele, ale za to liczebnie było bardzo dużo. Łupiny wysychały, a tym czasem przyjechał traktor i zorał kawał nizinnej łąki między barakami a rzeką. Podzielono pola po jakieś pięć arów na każdą rodzinę. Pole nie było dobrze przygotowane, bo były to wielkie skiby odwalonej darniny (wiecznej darniny) odwróconej spodem do góry calizny. W brzdach odśloniona została czarna ziemia o strukturze grudkowej jak niektóre nawozy sztuczne. W tych odślonionych skibach za pomocą łopaty ojciec porobił dołki, wzruszając ziemię punktowo. W te miejsca na odpowiedniej głębokości, posadziliśmy łupiny ziemniaczane. Zasadzone pole wyglądało raczej jak grunt przygotowany do sadzenia młodnika leśnego. Wszystkie rodziny z dwóch nowych baraków, a było ich około trzydziestu, robiły podobnie. Po posadzeniu ziemniaków całe to pole ogrodzono żerdziami, aby zabezpieczyć je przed zniszczeniem przez krowy rodzin tubylczych, które chodziły bez dozoru gdzie tylko chciały, również w pobliżu osady i naszych baraków. Pasły się najczęściej na tych łąkach, nie oddalając się za daleko od rzeki, do której przychodziły dla ochłody w czasie upałów.

Kiedy zbliżał się południowy upał, krowy schodziły się pod wiatę specjalnie dla nich wybudowaną. Tam gospodynie przychodziły je doić - każda swoją krowkę. Były to krowy rasy syberyjskiej, maści brunatnej albo czerwobrunatnej z białymi łatami. Krowy te odznaczały się niską mlecznością. Latem, po ociełeniu, kiedy było pod dostatkiem paszy, dawały nie więcej jak 8 litrów mleka dziennie. Po ociełeniu zimą zaledwie od 4 do 5 litrów. Oprócz deputatu ziemniaczanego do własnego ogródka, ojcowie nasi przynieśli wiadomość, że wszyscy, na równi z obywatelami radzieckimi, otrzymamy latem krowy. Podpisali już weksle na pożyczkę. Raty za krowy miały być płacone przez kilka lat. Miały to być jałówki zacielone lub już po ociełeniu. I faktycznie mniej więcej za miesiąc na barce przywleczonej kutrem przyplłynął transport krów. Były różne, mniejsze i większe. Niektóre już po ociełeniu ale bez cielaków. Na pytanie gdzie są cielaki, ci miejscowi "kowboje" odpowiadali, że nie wiedzą, być może po drodze popotyły się. Trochę szkoda, ale z drugiej strony z cielakami byłyby tylko problemy, bo w rozporządzeniu nie było mowy o cielakach, lecz wyraźnie powiedziano, że nie wolno chować więcej jak jedną krowę. Mogłaby być cielęcina, ale i tak nie wiadomo dla kogo. Wszyscy woleliby mieć krowy po ociełeniu, bo niektóre jałówki robiły wrażenie, że i za 9 miesięcy się nie ocielą. Żeby podział był sprawiedliwy i nie budził podejrzeń, postanowiono urządzić losowanie. Ponumerowano te kilkadziesiąt sztuk bydła i zainteresowani kolejno ciągnęli losy. Ojciec wylosował cielę, dość grube. Nasi znajomi również wylosowali jałówki. Nie wiadomo było, czy która jest cielna. Tak więc mieliśmy już krowę, ale perspektywy na mleko były dalekie. Puszczono nasze krowy "luzem", na pastwiska. Tylko niektórzy przychodzili pod wiatę ze skopcem do dojenia. Inni (tak jak my) przychodzili tylko od czasu do czasu, żeby zobaczyć swoją jałówkę, oswoić ją, pogłaskać po łysinie i podrapać za rogami, jeśli dała do siebie podejść. Nasza na szczęście była spokojna, lubiła nasze towarzystwo i czasem przychodziliśmy do niej, żeby się nią nacieszyć.

Natomiast całymi dniami wysiadaliśmy nad brzegiem Czuny z naszymi prawie prawdziwymi wędkami trzymając je w rękę, a jak ryba nie brała, to wbijaliśmy wędzisko w brzeg, a sami siadaliśmy przy ognisku, chroniąc się w dymie od muszki.

Zbieraliśmy też na łąkach szczypior z dzikiej cebuli, zjadając go na surowo. Czasami przypiekaliśmy rybkę. Trochę sobie ich żałowaliśmy, bo chcieliśmy przynieść jedzenia do domu jak najwięcej. Łowiliśmy po kilka do kilkunastu sztuk. Były to rybki mniejszego kalibru, czasami się trafiał większy okonek lub szczupaczek.

Nie miałem szczęścia do łowienia. Czesiek i Zdzisiek więcej łowili, a obaj byli z mniejszej rodziny. To też moich rybek nie zawsze starczało po jednej na osobę. Raz się do mnie szczęście uśmiechnęło i złowiłem wielką rybę, nie pamiętam jakiego gatunku. Była podobna do karpia i ważyła około 2 kilogramów. Złowienie jej miało następujący przebieg: zauważyłem, że koniec mojej wędki wygiął się do samej powierzchni wody. Podbiegłem do niej, bo myślałem, że żyłka zaplątała się w jakąś karpinę leżącą na dnie lub haczyk zaczepił się o coś. Kiedy chwyciłem wędkę, żeby ją podciągnąć, żyłka zaczęła mi tańczyć w różne strony i coś ciągnęło wędkę. Zacząłem podnosić ją do góry. Czuję nierówną szarpaninę. Wędzisko zgięło się w pałąk a nad lustrem wody zawisła wielka, trzepocząca się ryba. Wystraszyłem się, ale nie wypuściłem wędki i może za mocno zamachnąłem się wędką w kierunku brzegu, bo ryba urwała się z haczyka i upadła na pochyły żwirowy brzeg w odległości nie większej niż metr od wody. Ryba zrobiła kilka skoków i była już przy samej wodzie, ale podbiegłem do niej od strony rzeki i obiema rękami odrzuciłem ją dalej od wody. Później rzuciłem się na nią, ale ona ciągle się rzucała. Złapałem ją w pół i włożyłem pod pachę. Była śliska, wierciła się, w każdej chwili mogła mi się wyslizgnąć. Zostawiłem wędkę i z wielkim biciem serca podbiegłem ze swoją zdobyczą do domu. Zastałem w izbie czeszącą się ciotkę Kaśkę. Gdy ta zobaczyła mnie z rybą, złapała się za głowę, czyniąc gesty zdziwienia. Włożyliśmy rybę do wiadra z wodą i przykryli stolnicą, dopiero gdy matka wróciła z pracy przyrzadziła ją do zjedzenia.

CAŁA NADZIEJA W WOJNIE

Wiadomość o wybuchu wojny radziecko-niemieckiej dotarła do nas na przełomie czerwca i lipca. Była mowa, że cały naród radziecki przyjął z oburzeniem atak niemiecki i zadaje agresorom wielkie straty. Muszę powiedzieć szczerze, że wiadomość o rozpoczęciu działań wojennych obudziła w nas, Polakach, nadzieję na powrót do Ojczyzny. Nikt o niczym innym nie marzył. W tym czasie dla nas nie były ważne wyniki dalszych działań, byleby tylko pozwoliły wrócić do swojego Kraju, do Polaków. Wrócić znów do godnego życia i do godności obywatelskiej. Faktycznie, trzeba sobie zdać sprawę, że gdyby nie ta wojna, zostalibyśmy na Sybirze po wsze czasy i żadna siła nas nie wyrwałaby z tego jarzma. Polacy szybko zapomnieliby o losach swych rodaków ze Wschodniej Polski. Teraz każdy Polak na Sybirze rozumiał powagę sytuacji, jaka stanęła przed całym narodem radzieckim a może i przed wszystkimi narodami świata. W naszych sercach budziły się skryte marzenia i plany na powrót do kochanego Ojczystego Kraju, do umiłowanej ziemi naszych ojców i dziadów. Od tej chwili stosunek Rosjan do Polaków znacznie się zmienił. Przestaliśmy być

traktowani jak wrogowie, bo na arenę wszedł inny, potężniejszy wróg. Wojna z Niemcami była rozgrywką na śmierć i życie. Na rychłą poprawę naszych warunków nie zanosilo się narazie. Nasze ziemniaki powschodziły w ziemi. Wszystkie łupiny wydały zdrowe pędy. Teraz pogoda nie była dla nas obojętna. Wypatrywaliśmy na niebie najmniejszej chmurki i obserwowaliśmy, czy nie tworzy się z niej większa chmura deszczowa. Bo trzeba wiedzieć, że w tym kontynentalnym klimacie tak właśnie tworzyły się deszczowe chmury. Latem opady były tam tylko pochodzenia burzowego. Nie było nieustannego deszczu w postaci naszych trzydniówek, lub ciągłego zachmurzenia z opadami mżawki. Przeważnie zniecka z małej chmury spadał duży deszcz i znowu wracała słoneczna pogoda, niezmiernie sprzyjająca wegetacji roślin. Jeżeli przez dłuższy czas nie padało, to nie szczędząc sił, nosiliśmy z Czuny wodę w wiaderkach zawieszanych na nosilkach i podlewaliśmy szybko rosnące ziemniaki. Latem wyprawialiśmy się po runo leśne. Oprócz czarnych jagód rosły tam czerwone kwaśne borówki oraz łochynie. W mokrych zaroślach spotykało się czarne dzikie porzeczeki. Później zaczynały się grzyby i cierpkie owoce czeremchy. Jesienią można było też zebrać sporo orzeszków cedrowych, ale tej jesieni orzeszków cedrowych już nie doczekaliśmy.

Jednego razu wybrałem się z kolegą bez celu do lasu w kierunku starego baraku, gdzie mieszkaliśmy na samym początku. Chcieliśmy zobaczyć, czy jeszcze stoi. Przez las prowadziły nas ślady dawnej drogi. Kiedy doszliśmy na górkę, patrzymy: O dziwo! Barak stoi jak gdyby nigdy nic, tylko bardziej pochylił się i poczerniał ze starości. Dotarcie do niego po stoku było trudne: zarośnięte różnymi porostami, a przede wszystkim wysoką trawą podobną do trzciny. Czesiek nie chciał zbliżyć się do baraku. Powiedział, że tam mógł zadomowić się niedźwiedź, a już napewno są tam duchy zmarłych i lepiej tam nie chodzić. Ja byłem odważniejszy i postanowiłem pójść sam. Czesiek został na górze, a ja zacząłem przedzierać się przez tę wysoką trzcinę. Była prawie mojego wzrostu. Nie zauważyłem śladów zdeptania jej przez kogoś, kto mógłby tędy wcześniej przechodzić. Jednak w miarę zbliżania się do baraku moja odwaga zaczęła maleć. Serce zaczęło mi walić ze strachu, ale nie chciałem wracać, żeby się nie ośmieszyć, a i ciekawość moja była tak wielka, że nie mogłem się jej oprzeć. Kiedy dochodziłem do drzwi, czułem jak włosy jeżą mi się ze strachu. Na szczęście nie musiałem otwierać drzwi bo były one otwarte, przechylone, wiszące na jednym zawiasie. Zajrzałem do środka. Panowała cisza. Okna wybite, nie było pieców, a prycze zdewastowane. Podłogę zaścielały śmieci i opadłe z drzew liście. Całe wnętrze wypełniały gęste pajęczyny. Popatrzyłem chwilę, drżąc ze strachu, a włosy cały czas stały mi dęba. Zastygłem w miejscu kiedy nagle ocucił mnie głos Czeška, który krzyknął:

- Co tam jest?

Nie miałem odwagi odpowiedzieć mu z miejsca, dopiero odszedłszy stamtąd, w połowie drogi powrotnej głośno odkrzyknąłem:

- Nic tam nie ma.

Ulżyło to mojemu strachowi, ale nie przyznałem się koledze, jak bardzo się bałem.

Nie był to koniec naszej wędrówki, bo postanowiliśmy obejrzeć duże cedry, czy mają dużo młodych szyszek. Było ich wiele, ale jeszcze zielone. Szukaliśmy pod nimi zeszłorocznych orzeszków ale bezskutecznie. Do domu wróciliśmy dopiero wieczorem. Pewnego dnia zaczęły dochodzić do nas z tartaku dziwaczne odgłosy jakiejś maszyny. Pobiegliśmy tam, żeby ją zobaczyć. Była to duża piła tarczowa poruszana pasem transmisyjnym z traktora. Robotnicy tartaczeni podsuwali do niej całe okrągłe pnie brzoź, które cięli na krążki grubości około 7 do 10 centymetrów. Inni robotnicy cięli te krążki na drobne kostki zwane "ciurkami". W ten sposób zobaczyliśmy jak się produkuje ciurki, które już wcześniej widywaliśmy w skrzyni traktora gąsienicowego. Były one używane jako paliwo do spalinowego silnika traktora. Traktorzysta brał część pociętych, suchych ciurek i wrzucał je do kolumny paleniskowej od góry, poczym zakręcał szczelnie pokrywę. Inną porcję ciurek wrzucał do dolnego paleniska kolumny. Kolumna ta miała średnicę około 60 centymetrów, a wysokość około 180 centymetrów. U góry kolumny sterczał kominek, z którego uchodził dym. Taka kolumna była umieszczona z jednej strony szoferki traktora a po drugiej jego stronie ulokowano podobną, ale bez komina i paleniska. Było to dla nas w owym czasie zbyt skomplikowane urządzenie i nikt z nas nie mógł pojąć zasady jego działania. Dopiero w następnych latach dowiedziałem się, że prawie wszystkie ciężarówki na Syberii miały przy szoferce podobne kolumny. Dowiedzieliśmy się, że samochody te mają zwykłe silniki spalinowe, tylko zamiast benzyny spalają gaz generatory wytwarzany w wymienionych kolumnach.

Lato 1941 roku było bogate w wydarzenia. Uplęnięto nie więcej niż dwa miesiące od początku wojny niemiecko-radzieckiej, kiedy przyjechała do nas jakaś komisja z Irkucka, prawdopodobnie z NKWD, która badała warunki bytowania rodzin polskich, robiąc wrażenie, że chcą udzielić pomocy potrzebującym. Chcieli się zaopiekować starą ciotką niemową. Prosił ojca jako opiekuna o zgodę na zabranie jej do domu starców. Ojciec nie wiedział co począć, aż wreszcie zgodził się. Ojciec miał nadzieję, że wyniszczona głodówką staruszka znajdzie się w lepszych warunkach, odżywią ją i powróci do sił. Pozwolił więc na zabranie ciotki niemowy, co było jednak jego poważnym błędem. Kiedy zabierali ją do Irkucka, biedna rozpaczała, bo nie rozumiała dokąd ją zabierają i na jak długo. Zabrano

też naszego stryja Andrzeja do szpitala. Miał on od dłuższego czasu na szyi ropiejący guz. Stryjek podczas swego pobytu w Irkucku dowiedział się, że ciotka Kaśka zmarła w domu starców wkrótce po przyjeździe. Myślę, że staruszka zmarła z tęsknoty za rodziną i z wycieńczenia, bo nie miała żadnego kontaktu z Rosjanami, którzy byli w dodatku nieżyczliwie nastawieni do kaleki. Tam napewno nie było dla niej warunków do życia. Pochowano ją na nieznanym cmentarzu. Stryj natomiast wyleczył się i przebywając w Irkucku postarał się o ściągnięcie do siebie stryjenki z dwiema córkami. Osiedlili się w kołchozie Tułun koło Irkucka, blisko kolei.

Jednego razu nad Juroktę i Palenczyce nadciągnęła wielka czarna chmura. Była to chmura dymna, pochodząca z pożaru tajgi. Była tak gęsta, że zakryła słońce jak chmura deszczowa. Do miejsca pożaru wyjechali niemal wszyscy oprócz dzieci i starców. Ojciec później opowiadał, na czym polegała akcja ratownicza. Informacje o pożarze tajgi pochodziły z rozpoznania lotniczego. Wiadomość o tym podawano z wyprzedzeniem kilku dni określając w jakim kierunku rozprzestrzenia się ogień. W najdogodniejszych miejscach wykonywano wówczas przecinki, korzystając z naturalnego ukształtowania terenu, na przykład wzgórze, polana czy rzeka; w razie konieczności wycinano pas lasu, starannie go oczyszczając ze ściółki i wypalając pod kontrolą, przez co powstawała naga ziemia uniemożliwiająca przeniesienie się ognia na dalszy obszar tajgi. Ludzie pozostawali całymi dniami na postęrkach. Inni zajmowali się dostarczaniem zaoparzenia. Akcja ta trwała około dwóch tygodni, aż do całkowitego zlokalizowania ognia i ugaszenia pożaru. Pożar tajgi to wielka strata drzewostanu, a szczególnie życiodajnej cedry.

Osobiście z bliska nie widziałem pożaru tajgi, ogromu tego zjawiska. W tajdze tylko ta część lasów jest zagospodarowana przez człowieka, gdzie dominuje sosna, świerk i modrzew syberyjski. Natomiast większość lasów rośnie bez ingerencji człowieka. Występują w nim przede wszystkim brzozy oraz częściowo te same drzewa co w lesie zagospodarowanym. Jest tam sporo gatunków drzew liściastych, których wszystkich nazw nie pamiętam. Na pewno nie ma tam dębów, grabów i lip. Drzewa wyrastają w sprzyjających warunkach do olbrzymich rozmiarów starodrzewi, starzejąc się, wał się i gniją, tak jak w naszych puszczech. Przywalają swoim ciężarem również inne drzewa. Niektóre padając opierają się o inne drzewa i tak stoją pochyłone. W czasie wietrznej pogody skrzypią przerażająco. Tworzą różnorodną mieszaninę żywotności: niektóre są jeszcze nieuszkodzone i zdrowe, z innych odpada kora, a jeszcze inne są całkiem zmuszałe. Niekiedy drzewo robi wrażenie zdrowego, ale wystarczy kopnąć je, a rozsypuje się w stos próchna. Cały ten gąszcz drzew porośnięty jest dołem przez różnorodną roślinność, zioła i krzewinki, co uniemożliwia często przejście. Jest to najczęstszym powodem zablądzenia w lesie, o czym już pisałem wcześniej.

Widziałem las po pożarze w Polsce, w okolicach Zabierzki koło Otwocka. Była tam wypalona ściółka i osmalone sosny. Tajga po pożarze wygląda nieco inaczej. Tam na ogół na ziemi leży tak duża masa drzewa, że ogień strzela bardzo wysoko i zanim wypali się to wszystko, co leży na ziemi, spalają się całkowicie drzewa rosnące wokół, z których zostają tylko kikuty, ostro zakończone u góry. Pożar nie uprawianej części tajgi nie przynosi większych strat poza zwierzyną. Tak więc w akcjach przeciwpożarowych zabezpieczane są przede wszystkim lasy uprawowe. Z tych właśnie lasów ściągano drzewa do rzeki i tam pod koniec lata formowano wielkie tratwy spławiane potem w dół rzeki do zakładów drzewnych.

Tratwy takie przygotowuje się następująco: kłocę długości 10 do 15 metrów układa się obok siebie tak, by koniec grubszy jednego znalazł się przy cieńszym następnego kłoca i wiąże się je ze sobą za pomocą witek brzoźowych. Tak powstaje szerokość tratwy. Cała tratwa może mieć długość około 60 metrów. Tratwa składa się z kilku segmentów. Każdy segment to niezależna konstrukcja bali leżących poprzecznie względem siebie, przyłożonych kilkoma podłużnymi balami. Bale podłużne wiązane są do krańcowych bali dolnej warstwy wtkami brzoźowymi i kłami stalowymi. Segmenty tratwy łączy się ze sobą linami konopnymi. Na pierwszym i ostatnim segmencie kładziono poprzecznie kilka bali, a na samym brzegu były podpory, na których układano wiośła do kierowania tratwą. Za wiośła służyły długie bale podparte jak żurawie wodne. Grubszy koniec był płasko zaciosany i zanurzony w wodzie. Cieńszy koniec kłoca wioślowego był na samym końcu cienko ociosany i służył za uchwyt wioślarzom. Uchwyt ten trzymali flisacy niby olbrzymie wiośła, posługując się nim przez naciskanie końca w dół, odciągając w bok, podnosząc do góry lub ciągnąc w przeciwną stronę, kiedy spłaszczona część wiośła znajdowała się w wodzie. Wioślowanie umożliwiało utrzymanie tratwy we właściwej pozycji, żeby płynęła zgodnie z nurtem rzeki, albo uniemożliwić zakłócenie jej biegu przez ściągające ją wiry. Wiośła służyły wreszcie do skierowania tratwy w bok na zakręcie rzeki, gdzie była ona wyrzucana siłą odśrodkową na zewnętrzny brzeg zakola. Trzeba było wówczas już wcześniej zaczynać kierowanie tratwy do brzegu wewnętrznego, jakby ścinając zakręt, bo inaczej tratwa uderzyłaby w brzeg zewnętrzny i mogłaby rozbić się albo zaryć na mieliźnie, skąd trudno ją później ściągnąć na głębszą wodę. Gdzie rzeka była szeroka i głęboka, utrzymanie tratwy we właściwej pozycji nie jest trudne, byleby znajdowała się na środku wody.

Ojciec nasz brał udział w spławianiu drzewa latem 1941 roku i po powrocie opowiadał nam związane z tym przygody. Bardzo nas interesowało jak sobie radzono na progach Czuny i Angary, których po drodze było aż pięć. Jeden z progów znajdujących się na rzece Czunie był szczegól-

nie niebezpieczny. Było to miejsce skaliste, gdzie woda rzeki przedzierała się kilkakrotnie przez skalisty teren, między skałami. Tratwę trzeba było kierować dokładnie dłuższą na środek, na jedną ze szczelin, która była najszersza. Prąd rzeki przed progiem był szybszy ze względu na przewężenie i znaczny spadek. W miejscu, gdzie woda rzeki napotykała na skałę, rozбивała się o nią i tryskała w górę jak wielka fontanna, co powodowało potężny szum słyszalny w tej ciszy conajmniej z odległości kilometra. Woda przedzierająca się przez szczeliny skalne tworzyła jakby pochyły bezkaskadowy wodospad. Za progiem było wielkie rozlewisko, gdzie bystry nurt stawał się powolny, spokojny. Tylko miejscowi flisacy potrafili podprowadzić tratwę do progu tak, żeby jej nie roztrzaskać o skały. Zresztą zdarzało się, że i najwytrawniejsi popełniali błędy. Kierownikiem na tratwie był rekrutujący się z miejscowych Rosjan wytrawny flisak, mający do pomocy sześciu lub ośmiu robotników spośród zesłanych Polaków, będących czarnoroboczą siłą do wiosłowania. Na każdej tratwie flisacy mieli po jednej łódce i niezbędne narzędzia do drewna. Kiedy zbliżano się do progu, kierownik krzykiem wydawał wiosłarzom rozkazy, by pracowali wiosłami w sposób umożliwiający bezpieczne przebycie tego trudnego odcinka drogi. Później jego krzyk zagłuszał ryk wód rozбивających się o skały progowe. Na wypadek rozbicia tratwy wszyscy byli zabezpieczeni kapokami. Tratwa, na której wiosłował mój ojciec, przepłynęła ten próg szczęśliwie. Natomiast tratwa, gdzie pracował przy wiosle mój stryj, zawadziła "ogonem" o skałę i ostatni segment rozsypał się jak pudełko z zapalnikami. Część flisaków powpadała do wody przeżywając chwile grozy, ale wszyscy wyszli z tego cało. Udało im się nawet przycumować do brzegu. Część załogi została na tratwie, a reszta zajęła się wyławianiem rozsypanego drewna w dole rzeki i podciąganiem go do brzegu, przy czym korzystali z łódki lub płynęli w pław. Części kłoców jednak nie udało się uchwycić i trzeba było zastąpić je innymi, których w tym rejonie nie brakowało z innych rozbitych tratw innych rozbitków niesionych przez wodę. Po sformowaniu tratwy ruszyli w dalszą drogę. Po doprowadzeniu tratwy do miejsca przeznaczenia flisacy wracali kutrem motorowym, który co dwa tygodnie pływał do samych Palenczyc.

Wracając do łupinek ziemniaków posadzonych we własnym ogródku, to rosły one jak na drożdżach. Nikt nie przypuszczał, że ziemia, która od wieków nie rodziła nic innego jak lasy tajgi i trawy, potrafi bez większych zabiegów uprawowych zrodzić takie krzaki ziemniaków. W lipcu okopaliśmy je tak, że każdy krzak miał własny kopiec. W sierpniu ziemia kopców zaczęła pękać. W te pęknięcia wbijało się palce i natrafiało na młody ziemniak. Ziemniak większy był urywany a mniejszy przykrywany z powrotem, żeby jeszcze podrość. Taki sposób podkopywania był nam znany jeszcze z Polski,

stosowały go rodziny z uboższych gospodarstw rolnych i nazywał się "podbieraniem". W sierpniu codziennie podbieraliśmy ziemniaki i gotowali zupę, albo na sypko, jako młode ziemniaki. Przy pierwszym spożywaniu młodych ziemniaków staropolskim zwyczajem szarpaliśmy jeden drugiego za uszy, wołając przy tym: "Nowinka, nowinka, do świętego Morcinka". Na razie mieliśmy co włożyć do garnka. A trzeba wiedzieć, że z chwilą wybuchu wojny sprawa wyżywienia zapowiadała się coraz gorzej. Niemal całą żywność magazynowano, albo wysyłano drogą wodną do miast i na front.

Kiedys, nie pamiętam już z jakiej przyczyny, rodzice zostawili mnie samego w Jurocku, a sami z resztą mojego rodzeństwa przebywali w Palenczycach. Było to jeszcze przed sezonem podbierania młodych ziemniaków. Zostawili mi kawałek chleba, który zjadłem pierwszego dnia, na następny dzień głodowałem. Zjadłem tylko kilka złowionych płotek i trochę szczawiu ze szczypiorom. Trzeciego dnia przyszedł do mnie ojciec, ale nie miał dla mnie nic do jedzenia. Poszliśmy do pobliskiego lasu i tam nazbieraliśmy koszyk (wielkości dużego wiadra) grzybów, koźlarzy. Ojciec postawił na kuchni garnek z wodą i ugotował sporo tych grzybów, które zjedliśmy bez żadnej okrasy. Były śliskie, galaretowate. Wypełniliśmy nimi brzuchy, ale jeść chciało się nadal, tak jak i przed jedzeniem. Ojciec kazał mi zapamiętać ten zagajnik, gdzie rosły koźlarze i kazał mi tam codziennie przychodzić, zbierać je i gotować sobie z nich posiłki. Miałem tu zostać sam jeszcze parę dni, bo ojciec musiał iść do pracy w Palenczycach. Następnego dnia poszedłem sam po te grzyby i gotowałem je tak jak ojciec. Jadłem je, ale jednocześnie miałem młodości, obrzydły mi strasznie. Problem był w tym, że nie było czym przyrządzić tych grzybów. Nie było żadnych tłuszczów. Jak smakuje masło, śmietana czy mleko, dawno już zapomniałem. Czułem się fatalnie, samotny i wygłodniały, postanowiłem więc sam wybrać się do Palenczyc, choć nie byłem tam nigdy przedtem. Jeszcze nie ukończyłem wówczas jedenastego roku życia i byłem słaby, bardzo wynędzniały. Miałem wówczas nieproporcjonalnie dużą głowę i wydęty brzuch. Pierwszy raz wybrałem się samotnie w nieznaną drogę. Dziś trudno mi to sobie wyobrazić, jak mogłem się odważyć na taką wyprawę, chyba tylko dlatego, że przeżywszy półtora roku w tak trudnych warunkach, człowiek szybciej dojrzewa do samodzielności. Zresztą byłem w wielkiej depresji, w rozpacz i było mi wszystko jedno. Jak już wspominałem, Jurokta, gdzie mieszkaliśmy i Palenczyce leżały na tym samym, lewym brzegu Czuny. Ale rzeka ta w pewnym miejscu rozlewała się szeroko, tworząc nieprzebyte bagna. Ponadto łączyły się tu z Czuną jej liczne małe dopływy, na których nie było mostów. Żeby miejsca te ominąć trzeba było przepłynąć się na przeciwległy brzeg Czuny i idąc jej prawym brzegiem ominąć niebezpieczny obszar. Dochodziło się do Kadarei, gdzie należało znaleźć przewoźnika i powrócić na lewy brzeg rzeki.

W Jurokcie poprosiłem przewoźnika, płynącego na drugą stronę rzeki po kogoś, żeby zabrał mnie na łódkę. Będąc już na przeciwnym brzegu, powiedziałem mu, że ja muszę iść do Palenczyc, bo tam są moi rodzice i przewoźnik pozwolił mi odejść. Szedłem boso w górę rzeki do Kadarei, nikogo nie spotykając na drodze. Ścieżka wiodła obok uprawnych pól kołchozowych. W Kadarei cała chmara wiejskich chłopaków w wieku od 7 do 14 lat, obstąpiła mnie:

- Dokąd idziesz? - spytali.

- Muszę dostać się na drugi brzeg, idę do Palenczyc, tam są moi rodzice... - wyjaśniłem im.

Zaczęli się ze mnie naśmiewać i popychać mnie od jednego do drugiego. Rozplakałem się i dostałem parę kopniaków, a dwóch najstarszych kazało mi iść z nimi do rzeki, to mnie przewiozą na drugą stronę. Rzeka w Kadarei miała co najmniej 150 metrów szerokości. Wsadzili mnie do małej łódki, typu małego bączka, pomiędzy siebie, na środku łódki. Jeden siedział od strony dziobu i wiosłował oburącz, a drugi siedząc, sterował łódką za pomocą jednego wiosła. Kiedy dopłynęli na środek rzeki, przestali wiosłować i zaczęli przeklinać mnie, mówiąc przy tym, że mnie utopia. Zaczęli kołysać łódką na boki. Obijałem się to o jedną burtę, to o drugą, a kiedy przybliżyłem się do któregoś z nich, to mnie popychał tak, że turlałem się wzdłuż łódki. Pomyślałem, że oni naprawdę mnie utopia i zaczęłem płakać. Gdybym wypadł za burtę to mógłbym przepłynąć tylko kilka metrów "po piasku", bo nie umiałem pływać dobrze, byłem zbyt słaby. Mój płacz trochę ich skruszył i powoli dopłynęli do brzegu.

Kiedy znaleźliśmy się na mieliźnie, blisko brzegu, wyskoczyłem z łódki i zacząłem uciekać wzdłuż rzeki. Jeden z chłopaków zaczął mnie gonić. Z mokrego brzegu złapał garść czarnego błota i kiedy dobiegł blisko mnie, cisnął we mnie błotem, które rozprysnęło się na moich plecach i głowie. Na szczęście chłopak zrezygnował z dalszego pościgu, uznając widzieć, że dostałem co mi się należało. Byłem szczęśliwy, że tak łatwo mi poszło. Strzepałem błoto z pleców, a głowę splukałem w rzecze i poszedłem dalej, do Palenczyc. Zanim tam doszedłem mijalem łąki, na których pasło się bydło miejscowej ludności. Tutaj od czasu do czasu lądował samolot "kukuruznik". Pod wieczór doszedłem do Palenczyc. Przy tartaku świeciło się światło elektryczne. Szedłem środkiem szerokiej bitej ulicy. Po jej obydwu stronach stały szeregiem prywatne domy tubylców. Spytałem starca siedzącego na ławeczce przy płocie, jak daleko do baraków gdzie przebywają Polacy. Wskazał mi drogę i szczęśliwie doszedłem do celu. Wielkie było zdziwienie moich bliskich kiedy mnie zobaczyli. Nie pamiętam już miejsca, gdzie spotkałem swoją rodzinę. Po kilku dniach wszyscy wróciliśmy do Jurokty.